

"Wzięli mnie pod but i wyrzucili na śmietnik". Tak wdowa walczyła z ustawą PiS

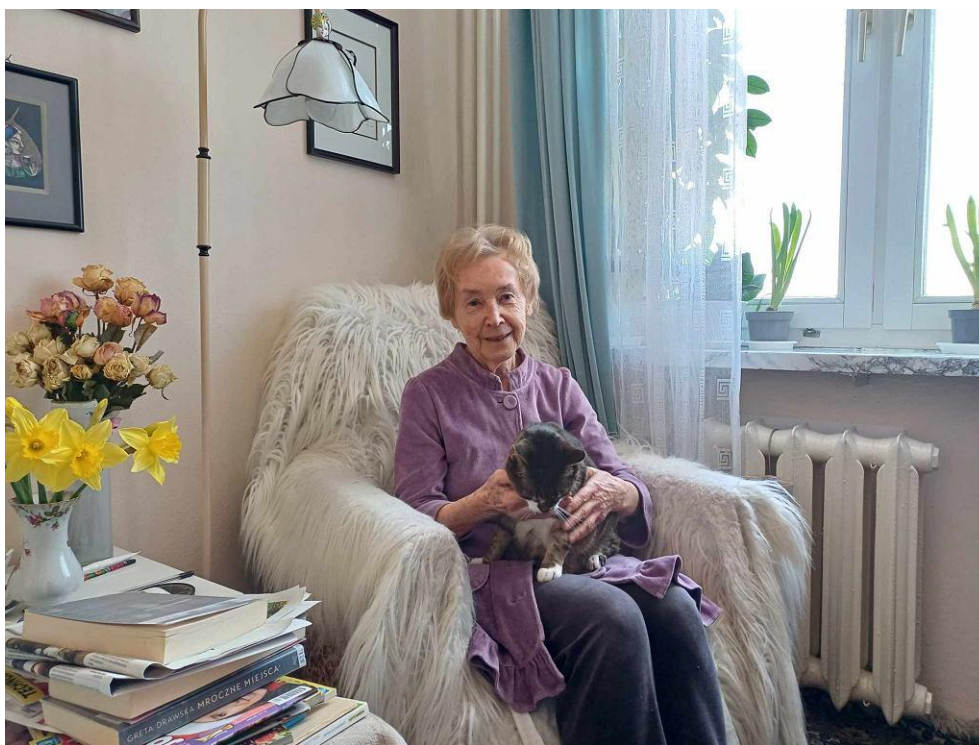
https://www.tokfm.pl/Tokfm/7,189663,30849277,wdowa-na-krawedzi-szesc-lat-walki-o-emeryture-po-mezu-haniebne.html?fbclid=IwAR26sfjnLw4u11o5kOeGnNpXEfqcAnndc4LYvg9eWOY1TLHlf1Qf6v9rk5M_aem_AUXiQ9hVf3BkPTaWdwhdJaDjqrMD0s4DfkjSoQa1CECx9sbo9usEvOZ8JfJ9tDEc4ZeJMotswGR1UGfiX1vJkdES



Anna Gmiterek-Zabłocka

03.04.2024 07:14

- Cała "wina" spadła na mnie, choć nigdy nawet nie należałam do żadnej partii politycznej. Zostałam potraktowana niegodnie, państwo zapomniało o moim człowieczeństwie - mówi pani Elżbieta, która przez sześć lat walczyła o emeryturę męża, odebraną jej w wyniku ustawy dezubekizacyjnej.



Fot. Anna Gmiterek-Zabłocka/ Radio TOK FM

"Gdybym popełniła zbrodnię, nawet najcięższą, za którą by mi wymierzono karę dożywocia, stanęłabym przed sądem, który by mi postawił konkretne zarzuty (...), miałabym możliwość wypowiedzenia swojej opinii w tej sprawie i patrzenia

w oczy oskarżycielowi i sędziemu, miałabym prawo do skorzystania z pomocy prawnej. A kiedy wyrok już by się uprawomocnił i trafiłabym do więzienia, to miałabym tam dach nad głową, codzienne utrzymanie i ubranie, dostęp do książek, radia czy telewizji, bez konieczności martwienia się, skąd wezmę co miesiąc pieniądze na zapłacenie za to wszystko".

To fragment artykułu, który powstał w 2017 roku, ale nigdy nie został opublikowany. Napisała go wieloletnia dziennikarka, która z dnia na dzień została pozbawiona świadczenia po nieżyjącym mężu. Wszystko w ramach ustawy dezubekizacyjnej.

Pani Elżbieta ma dziś 83 lata, jest dzieckiem wojny, urodziła się w 1941 roku. - Żyliśmy skromnie, ale godnie. A na koniec życia zepchnięto mnie na margines. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie doświadczyłam - mówi TOK FM. Mieszka w Warszawie, na Grochowie, razem z kilkunastoletnią kotką. Przez ponad 40 lat pracowała jako dziennikarka, m.in. w "Expressie Wieczornym", a potem w "Przyjaciółce" - jako kierowniczka działu poradniczego. Była też zatrudniona w Sejmie - w biurze prasowym, gdzie przygotowywała biuletyny z posiedzeń komisji sejmowych.

Nie wypracowała dobrej emerytury, bo - jak mówi - częściowo pracowała na "śmieciovkach", choć nikt wtedy tego tak nie nazywał. Dlatego, gdy po śmierci męża dostała możliwość otrzymywania jego emerytury, z chęcią się na to zdecydowała. Mąż przez lata pracował w MSW. - W czasie pracy skończył studia prawnicze. Był zwykłym urzędnikiem, bez żadnych funkcji. Nie awansował, nie dostawał jakichś wysokich apanaży, nie był w żaden sposób "wysoko ustawiony", ale emeryturę miał zdecydowanie wyższą od mojej, dlatego - jako wdowa, którą jestem od czerwca 2014 roku - o nią wystąpiłam. Mąż był przecież przed laty weryfikowany, zawsze wychodził z tego "czysty", nic mu nie mogli zarzucić - opowiada nasza rozmówczyni.

"Zostałam potraktowana niegodnie"

Wszystko zmienia się w 2017 roku. To wtedy weszła w życie tzw. ustawa dezubekizacyjna, która przyniosła obcięcie świadczeń tysiącom funkcjonariuszy, pracownikom ministerstw, w tym np. sekretarkom, portierom czy kucharzom i - w ogromnej ilości przypadków - zmniejszenie ich emerytur do emerytury minimalnej (aktualnie - od marca - jest to ok. 1700 zł na rękę).

- Nikt tego wtedy głośno nie mówił, że ma to też dotyczyć sierot i wdów. Ja to wyczytałam w projekcie ustawy. Do głowy by mi jednak nie przyszło, że Sejm się na to zgodzi. Wierzyłam, że może ktoś zrozumie, że to jakieś wielkie nieporozumienie. Bo co są winne np. wdowy, takie jak ja? - kręci głową pani Elżbieta.

Nasza rozmówczyni po mężu dostawała 3200 zł renty rodzinnej - zdecydowała się z niej skorzystać. Jej emerytura wynosiła wtedy 1438 zł. Jak mówi pani Ela, to za mało, by wystarczyło na uiszczenie niezbędnych opłat, m.in. za mieszkanie, ale też na wykupienie leków.

Gdy jej świadczenie zmniejszono, znalazła się na krawędzi. - Cała "wina" spadła na mnie, choć ja nigdy nie miałam żadnego związku z instytucjami wymienionymi w tej ustawie ani nawet nie należałam do żadnej partii politycznej. Dziś nie czuję się ofiarą, nie mam się czego wstydić. Ale zostałam potraktowana niegodnie, państwo zapomniało o moim człowieczeństwie - mówi w TOK FM.

"Decyzja o zabranii mi (...) otrzymywanej renty rodzinnej, która zapadła gdzieś poza mną, bez uprzedzenia i możliwości zgłoszenia najmniejszych zastrzeżeń, to wyrok znacznie bardziej godzący we mnie niż opisana wyżej sytuacja zbrodniarza. Mnie bowiem skazano zaocznie, bez wskazania winy, bez możliwości obrony, a wyrok ten oznacza, że kiedy zapłacę za leki niezbędne w mojej sytuacji, gdy walczę z chorobą nowotworową, a także za mieszkanie, gaz, energię, telefon, telewizję, to na jedzenie, ubranie, środki czystości, "drobiazgi" niezbędne człowiekowi do życia, nie będę miała ani złotówki".

Pani Elżbieta poszła do sądu i ostatecznie wygrała. Znowu ma rentę rodzinną po mężu, wypłacono jej także wyrównanie za poprzednie lata. Wszystko trwało ponad sześć lat. Emerytowana dziennikarka na ten czas wróciła do swojej pierwotnej emerytury, która była o kilkaset złotych wyższa od najniższej krajowej.

- Po zrobieniu opłat zostawało mi 20 zł dziennie na wszystko - już nie mówię o jedzeniu, ale na środki czystości i inne rzeczy. Musiałam się naprawdę niemal wszystkiego wyrzec - jedyna rzecz, na którą musiałam znaleźć pieniądze, to były leki. W tym czasie, gdy ta cała sprawa wybuchła, byłam po operacji onkologicznej, w trakcie naświetlań, w trakcie chemii. Z leków nie mogłam zrezygnować - z wszystkiego innego już tak - opowiada w rozmowie z TOK FM.

- Wiedziałam, że wydanie nawet tylko kilkunastu złotych jest dla mnie niemożliwe. Nie zapraszałam praktycznie nikogo do siebie, bo nie miałam pieniędzy na herbatę czy ciastko. Nie mówiąc o kinie, teatrze czy filharmonii, którą uwielbiam. (...) Jak przychodził sezon letni, nie mogłam sobie pozwolić np. na kupienie malin. Ich cena była ponad moje możliwości - dodaje nasza rozmówczyni.

"Wzięli mnie pod but"

Nie ma wątpliwości, że władza "zniszczyła jej życie". Nie boi się mocnych słów. - Wzięli mnie pod but, kopnęli i wyrzucili na śmietnik - mówi. Podkreśla, że miewała stany depresyjne. O swojej sytuacji z nikim nie rozmawiała. Wyjaśnia, że nie chciała nikogo obciążać problemami. - Raz, przy stole wigilijnym, wyszła rozmowa, w trakcie której powiedziałam, że zostało mi na życie 10 zł na dzień. Wnuki się popłakały, tak to przeżyły. Było mi z tym bardzo źle. Dlatego później już milczałam - wspomina.

Zwraca uwagę, że w takiej samej sytuacji znalazło się mnóstwo innych kobiet - wdów. - I co mi z tej wygranej, skoro zabrano mi tyle lat życia? Zmarnowano mi je, odebrano mi godność - dodaje pani Elżbieta. Podkreśla też, że, sąd, który po tych kilku latach ostatecznie przyznał jej rację - m.in. na podstawie akt z IPN - wskazał, że nie udowodniono, by jej nieżyjący już mąż zrobił komukolwiek jakąkolwiek krzywdę.

- Przez te wszystkie lata pisałam do różnych instytucji. W każdym z tych listów pytałam - za co to wszystko? Premier Beata Szydło, ogłaszając ustawę dezubekizacyjną, powiedziała: "Nareszcie dopadliśmy tych oprawców". To jest piętno, które wypalono nam na sercach. Kobieta kobiecie zgotowała ten los. Zostałam z dnia na dzień z pytaniem, skąd mam wziąć pieniądze

na przeżycie, bo ta decyzja zapadła gdzieś kompletnie poza mną - tłumaczy gość TOK FM.

"Oto, jak wygląda prawo i sprawiedliwość w rzeczywistości tysięcy ludzi, którzy znaleźli się w podobnej do mnie sytuacji. Proszę, piszcie o tym, nagłaśniajcie te haniebne przejawy bezprawia i pogardy dla tych, którzy jeszcze żyją, choć urodzili się w minionej epoce i zdaniem obecnie nam "panujących" nie mają prawa do dalszego życia. Niech nas wszystkich zamkną w więzieniu, gdzie przynajmniej dają jeść, albo niech nas postawią pod ścianą i rozstrzelają, bo na śmierć głodową skazywano ostatnio w czasach hitlerowskiego apogeum".

Takich jak pani Elżbieta są tysiące. Ci, którzy zdecydowali się pójść do sądu, w znacznej mierze wygrywają. Wielu wciąż czeka na rozpoznanie sprawy przez sąd.

Ustawa dezubekizacyjna zakładała obniżkę emerytur funkcjonariuszy służb i policjantów, którzy pracowali w strukturach uznanych przez IPN za "organy państwa totalitarnego". Ich katalog znacznie rozszerzono, dodając np. pracowników wydziałów łączności, policjantów, którzy w PRL przeszli szkolenia oficerskie czy funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu.

Po wejściu w życie ustawy dezubekizacyjnej wiele spraw trafiło do biura Rzecznika Praw Obywatelskich. Były to skargi m.in. związanych z MSW tłumaczy, kryptologów, sekretarek, sprzątaczek, kucharzy, kelnerów, a nawet sportowców. W tej grupie znaleźli się też historycy, lekarze, farmaceuci, biolodzy z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego czy pracownicy pionu PESEL i łączności. - Był to cały szereg zaplecza logistycznego, bo wszystkich - w ramach tej ustawy - automatycznie wrzucono do jednego worka - opowiada Tomasz Oklejak, naczelnik Wydziału do spraw Żołnierzy i Funkcjonariuszy w Biurze RPO.

Wspomina też inną historię osoby, która szukała pomocy u Rzecznika Praw Obywatelskich. - Chodzi o kobietę, która w wieku 13 lat była łączniczką w czasie Powstania Warszawskiego. Po tym, jak jej wniosek do nas wpłynął, zaskoczyło mnie to, że dołączono do niego ksero medali wręczonych jej przez Rząd Polski

w Londynie. Poprosiliśmy o akta osobowe, bo ciężko było uwierzyć, że osoba, która służyła w Armii Krajowej, podobnie jak jej ojciec, znalazła się w Służbie Bezpieczeństwa. Co się okazało? Była sekretarką w Departamencie Społeczno-Administracyjnym MSWiA, który odpowiadał za obsługę sekretariatów. Ona akurat pracowała w Wydziale Ogólnym. Jak to możliwe, że ją tam zatrudniono? Okazało się, że wszędzie tam, gdzie powinna była wpisać AK, wpisywała AL. Ostatecznie trafiła do Domu Pomocy Społecznej i tam zmarła. Nie dożyła końca procesu - opowiada Oklejak.

Jak mówi, były też przypadki samobójstw - po drastycznym obniżeniu świadczeń - czy depresji i załamań nerwowych. - Wiemy, że część osób w ogóle się nie przyznawała, że obniżono im emerytury. Było im wstyd, że zostali potraktowani jako służby totalitarnego państwa, choć potem przecież przez lata uczciwie pracowali w wolnej Polsce - mówi Oklejak.

Wspomina też swoje rozmowy z żołnierzami, w tym marynarzami. - Przedstawiciele mojego wydziału odbywają od czasu do czasu różne spotkania. I z marynarzami rozmawialiśmy na temat świadczeń emerytalnych, o zasadzie praw nabytych, że nikomu nie można nic obniżyć. I w pewnym momencie pada pytanie: "Ale co pan opowiada? Jakie prawa słusznie nabyte, skoro tak wielu ludziom odebrano te świadczenia?". I to jest właśnie naruszenie zaufania do państwa. Pracujemy całe życie zawodowe, mamy korzystne rozwiązania - np. w przypadku funkcjonariuszy - a na koniec życia idziemy i nam te świadczenia odbierają, niejednokrotnie traktując nas jako jakiegoś bandziora, bez wskazania indywidualnej winy - dodaje Tomasz Oklejak.

W sumie sprawy ok. 10 tys. osób są cały czas nierozstrzygnięte przed sądem. Duża grupa osób wyroku nie doczeka, bo już odeszli.

Co z dezubekizacją zrobi nowa władza?

Koalicja 15 października zapowiedziała, że przywróci pełne emerytury funkcjonariuszom, którym poprzednia władza obcięła świadczenia w wyniku dezubekizacji. Temat wybrzmiał m.in. na jednym ze spotkań Donalda Tuska z mieszkańcami - w Siedlcach. Szef PO zapowiedział wtedy, że "krzywdy zostaną naprawione".

Sprawę szeroko opisywała niedawno "Gazeta Wyborcza". Dziennikarze zauważyli, że najłatwiej byłoby przygotować nową ustawę, która unieważniałaby obniżki emerytury w wyniku dezubekizacji. Tej prawdopodobnie nie podpisałby jednak prezydent Andrzej Duda. Inną z opcji jest przywracanie pełnych emerytur na podstawie art. 8a ustawy dezubekizacyjnej. Pozwala on szefowi MSWiA wypłacać pełne emerytury, wystarczy, że z takim wnioskiem wystąpi do ministra funkcjonariusz, któremu zmniejszono świadczenie. Jak podawała "GW", prace w MSWiA trwają. Na razie żadne konkretne rozwiązania nie zostały jeszcze wypracowane.